

Pamięć po taniości

23 maja 2016

Być może młodzi ludzie faszerowani przekonaniem, że istotą życia zbiorowości jest wojna i/lub męczeństwo, i że wyłącznie walcząc lub cierpiąc niezłomnie, można być człowiekiem takim, jak należy, sprokurują nam w końcu jakąś wojnę. O wiele jednak poważniejszym – bo realizującym się wciąż, na naszych oczach – zagrożeniem płynącym z takiej pedagogiki i polityki historycznej, jaka dziś się kształtuje, jest, jak sądzę, wzmocnienie i ugruntowanie w polskich duszach przekonania, że tylko walka i cierpienie dla ojczyzny godne są powszechnej uwagi i czci, skoro wyłącznie walka i cierpienie są czczone. Jednocześnie wyłącznie walka i cierpienie są dającymi się wyobrazić drogami do społecznego szacunku, dostępnymi dla ludzi, których los i przodkowie nie obdarzyli innymi możliwościami nabywania sobie znaczenia. Codzienne ludzkie życie i twórczość są pozbawione waloru bohaterstwa, są czymś nieistotnym, niewartym uwagi, nieprzynoszącym chwały, którą wszak zdobywa się w militarnej walce z wrogami (a dziś najlepiej właśnie z komunistami – bo są potęgą czasu przeszłego) lub poprzez zadane przez tychże wrogów ojczyzny męczeństwo.

PEDAGOGIKI WSTYDU

Nie sądzę, żeby wina za dzisiejszą eksplozję fanatycznych, nacjonalistycznych bohaterskich kultów leżała wyłącznie po stronie prawicowych, konserwatywnych ideologów polityki historycznej i apologetów naszej militarno-męczeńskiej chwały. Równie wiele dla obecnego stanu rzeczy zrobili chętnie okazujący niesmak wobec polskiej skłonności do narodowych wzmożeń rodzimi liberałowie. Od 1989 roku w protransformacyjnym przekazie obecna jest nieskrywana pogarda dla tzw. przegranych, która jest w istocie pogardą dla ludzi pracy i dla pracy. „Przegranych” definiuje się dosyć dowolnie: mogą to być zarówno byli pracownicy likwidowanych zakładów,

którzy nie potrafili za odprawy założyć prężnych firm i wylądowali na bezrobociu, jak i ludzie, którzy bezrobocia nie zaznali, ale pracują za marne grosze, mogą to też być uczestnicy grup zawodowych domagających się przyzwoitego traktowania.

Ale przegranym staje się właściwie każdy, kto nie chce czy nie potrafi żyć z pracy cudzej i uparcie stara się utrzymać na powierzchni dzięki własnemu wysiłkowi. Przegranym z pewnością może czuć się na starcie swojej drogi młody człowiek, który nie został przez rodzinę wyposażony w wiele więcej niż własne ręce i głowa, a umiejący liczyć choćby tylko w takim stopniu, żeby zrozumieć, że choćby wyszedł z siebie, nigdy nie dorobi się własną pracą tego, co pozwala żyć w miarę godnie, a co podobno każdy porządny człowiek powinien sobie zapewnić we własnym zakresie: dachu nad głową, środków na samodzielne utrzymanie siebie i rodziny, oszczędności pozwalających przeżyć czas choroby czy bezrobocia, no i oczywiście tego mnóstwa towarów, które trzeba mieć, by nie czuć się gorszym od innych.

Prawdziwa pedagogika wstydu, którą nasze elity – i te neoliberalne, i te konserwatywno-, socjal- czy też narodowoliberalne – na siłę próbują wychowywać Polaków od początków transformacji, to wcale nie przypominanie chętnie zapominanych paskudnych kart naszej historii, ale właśnie zawstydzanie ludzi z tego powodu, że żyją tak, jak im pozwalają na to warunki, które te właśnie elity im stworzyły – a więc skromnie lub biednie, bez większych szans na jakąkolwiek poprawę losu. Ludzi u nas karze się za pracę nie tylko tym, że niewiele z niej mają, choć przecież widzą, że komuś innemu jednak dzięki niej żyje się znakomicie, ale i tym, że ich trud zbywa się pogardliwym wzruszeniem ramion, a aspiracje i dążenia oraz domaganie się bardziej sprawiedliwego podziału dóbr materialnych i szacunku kwituje się stwierdzeniami o resentymentach i zawiści tych, którzy niczego nie osiągnęli wobec tych, którzy osiągnęli dużo i bardzo dużo.

Niestety, także naszej „etosowej” inteligencji wciąż nie stać na to, by przyznać, że bardzo mało jest w naszym kraju ludzi, którzy niczego nie osiągnęli, za to cała masa takich, którzy osiągnęli całkiem sporo, ale nie dla siebie i nic z tego nie mają. Neoliberalna pogarda dla ludzkiego trudu i w ogóle wobec ludzkich zmagania z losem w Polsce akurat znakomicie nakłada się na pojęcia inteligenckie, poszlacheckie, wypracowywane od czasów co najmniej I Rzeczypospolitej, o tym, że zajmowanie się pracą własnych rąk, taką pracą, która coś wytwarza, przynosi jakiś materialny efekt, jest hańbiące i przynależne ludziom przez Boga i własną przyrodzoną podłość skazanym na nędzny żywot.

To płynące od ćwierćwiecza ze wszystkich mediów głównego, i nie tylko głównego, nurtu kłamstwo o tym, że ci, którym gorzej się powiodło, są sami sobie winni, a ci, którzy odnieśli sukces zawsze zawdzięczają go własnym zaletom, sprzęgło się z systemowym wytwarzaniem całych społecznych obszarów, w których sukces jest niemożliwy, a ludzkie starania skazane na porażkę.

ZATKANE UPUSTY

To chyba nie jest wielkie odkrycie, że im trudniejsze jest codzienne życie młodych Polaków, im więcej upokorzeń spotykają oni na swojej drodze do ustabilizowania codzienności – zdobycia pracy, mieszkania, założenia rodziny – im trudniej im przekonać się o własnej sprawczości i wpływie na świat zewnętrzny, i w końcu im więcej samo utrzymanie się na powierzchni wymaga konformizmu, uniżoności, godzenia się na wyzysk oraz własną i cudzą krzywdę czy rezygnowania z własnych życiowych planów, tym chętniej przystępują do historycznego i agresywnego – zakrzykującego wszelką dyskusję frazesami o zdradzie ojczyzny i braku patriotyzmu, domagającego się wręcz śmierci dla „wrogów ojczyzny” – kultu bohaterskiej militarnej przeszłości.

Potrzeby uznania, szacunku, poczucia własnej ważności i własnego znaczenia w świecie wytwarzają się w każdym z nas na

zasadzie sekrecji i domagają się ujścia. Jeśli jeden z najbardziej naturalnych upustów – poczucie dumy z realnych osiągnięć życia własnego i własnej wspólnoty – zostanie zatkany, ciśnienie wypycha strumień tym, który pozostał otwarty, poszerzając go do niebezpiecznych rozmiarów. Bohaterska przeszłość może być jedną z przestrzeni, w których poszukujemy źródeł naszej tożsamości, wiedzy o nas samych i dumy. Jednak fatalnie jest, kiedy staje się jedyną taką przestrzenią, miejscem ucieczki od zbyt trudnej wiedzy o nas samych, zbyt ciężkiej teraźniejszości i życia takiego, jakim jest.

Kult niezłomnych dostarcza swoim wyznawcom dwójakiego przekazu. Z jednej strony pozwala na utożsamienie się z bohaterami i odczucie wspólnotowej dumy z własnej tożsamości i dziedzictwa, z drugiej zaś, na głębszym poziomie, wpaja im taki ideał etyczny, do którego w dostępnej im rzeczywistości, choćby bardzo chcieli, nie będą mogli się nawet zbliżyć. Dumny „nosiciel” koszulek z portretami żołnierzy wyklętych (zresztą to samo mogłoby dotyczyć „nosicieli” koszulki z Okrzeją czy Waryńskim, gdyby noszenie takich koszulek stało się zjawiskiem masowym i zastąpiło właścicielom edukację historyczną; a pewnie w dużej mierze dotyczy to noszących koszulki z Che Guevarą nie tylko w naszym kraju) albo tatuaży ze znakiem Polski Walczącej, chcąc nie chcąc, widzi, i widzi, że inni widzą, że im więcej ma takich koszulek i tatuaży, tym bardziej nie jest partyzantem, nie bierze udziału w akcjach bojowych, nie patrzy dumnie w twarz oprawcom podczas konwejeru w więzieniu mokotowskim.

Uczestnictwo w kulcie i identyfikacja z bohaterami nie zmniejszają frustracji, lecz ją zwiększają, powodując u uczestników tylko powierzchowną poprawę poczucia własnej wartości i godności, a głębokie jego pogorszenie. W skali zbiorowej fantazjowanie o militarnej chwale i wierności ojczyźnie aż po rany i śmierć to kolejna odsłona Polski dziecienniałej. Prowadzi ono do konserwacji i utrwalenia

istniejącego stanu rzeczy, skazuje nasz kraj na kontynuowanie roli wiecznie głodnego konsumenta przychodzącego z zewnątrz i opłacanego zbyt hojnie cywilizacyjnego wzrostu.

Myślę, że z punktu widzenia tak dopieszczanych przez kolejne polskie rządy inwestorów dzielnie wykorzystujących w gospodarczej konkurencji atut dostępu do taniej siły roboczej, sytuacja musi wyglądać nieźle. Późny wnuk żołnierzy wyklętych nastawiony jest na obronę ojczyzny, a nie swoich pracowniczych czy społecznych interesów, wyżywa się w walce toczonej w wyobraźni, wie, że o godność walczy się w lesie z komunistami chcącymi zabrać nam duszę, a nie w pracy z menedżerem pozyskującym oszczędności w obszarze zasobów ludzkich czy ważną osobą decydującą o awansie. A przede wszystkim źle, fatalnie o sobie myśli – a więc i mało dla siebie się domaga – bo z wyjątkiem krótkich chwil świąt, festynów, mszy żałobnych i podróży w rzeczywistość wirtualną, zawsze jest gorszy niż powinien być i zawsze nie na swoim miejscu: nie w lesie, nie w kanałach, nie w okopach pod Wizną.

KOSZTOWNY OUTSOURCING

Nasz obecny wrzaskliwy kult bohaterów również na poziomie nadbudowy kształtowany był tylko w pewnej mierze przez ideologicznie motywowanych prawicowych specjalistów i opanowane przez nich instytucje historyczne i wychowawcze, tylko w pewnym stopniu jest kontynuacją wcześniejszych podobnych kultów. W dużej mierze rozkwita on dzięki temu, że państwo polskie robi wszystko, aby pozbyć się obowiązku historycznej edukacji społeczeństwa.

To nie przypadek, że histeria wokół żołnierzy wyklętych czy wręcz bluźnierczy kult powstania warszawskiego (z takimi atrybutami, jak pościel powstańcza, kiczowate tatuaże czy elegancki kanał, którym można się przejść w muzeum) wybucha po kilkunastu latach od reformy Handkego i jej kolejnych korekt, po których w szkole pozostały ledwie szczątki edukacji historycznej; a także po latach wycofywania się „publicznych”

mediów, i w ogóle mediów wraz z ich inteligenckimi współpracownikami i twórcami, z jakichkolwiek misyjnych powinności – w tym z misji popularyzacji polskich dziejów w całym ich bogactwie i złożoności.

Zamiast prowadzić kosztowną i trudną misję uczenia i opowiadania o historii w sposób systematyczny, polskie państwo ogłasza przetarg na outsourcing takiej usługi, któremu towarzyszy dzika prywatyzacja naszej pamięci historycznej przez cynicznych biznesmenów oferujących kolekcje „odzieży patriotycznej”, pościeli powstańczej czy energy-drinków Husarz.

DODAC POTRAWY DO SOLI

W żadnym razie nie postuluję wyrugowania kultu bohaterów wojennych czy też narodowych męczenników (choć przecież nie wszystkich, których dziś się czci; sądzę, że uzbrojonym ludziom mordującym z jakichkolwiek powodów ludność cywilną należy się co najwyżej przyznanie istnienia pewnych okoliczności łagodzących, ale nie cześć). Uważam jednak, że fatalne społeczne skutki przynosi fakt, że ów kult jest dominującym, a momentami jedynym przekazem historycznym obecnym w kulturze popularnej i przestrzeni publicznej, i w ten sposób zaczyna służyć nie poczuciu dumy z własnej wspólnoty, ale alienacji, uwewnętrznieniu pogardy dla własnego dziedzictwa. Powinien on być solą, która w odpowiedniej dawce przyprawia posiłek, a ponieważ zastępuje cały posiłek, staje się trującą. Myślę, że dla wzrastania naszej wspólnoty niezbędne jest wzmocnienie, czy może odbudowanie ze zgliszczy, a może nawet stworzenie od nowa popularnej opowieści o jej historii tworzonej w codziennych ludzkich zmaganiach.

Owszem, w naszej historii militarna obrona narodowego, wspólnotowego dorobku miała szczególne znaczenie i należy o niej przypominać, ale ma to sens przede wszystkim wtedy, gdy pamiętamy o tym, czym ten dorobek był (i jest), w jaki sposób powstawał, kto i w jakich warunkach go wytwarzał, gdy jesteśmy

w stanie w jakiś sposób wyobrazić sobie pracę i wysiłki, interesy i motywacje ludzi tworzących materialne i niematerialne podstawy naszej wspólnotowej i indywidualnej egzystencji. Walka zbrojna i męczeństwo to jednak nie twórczość, ale moment najwyższej, ostatecznej konsumpcji tego, co zostało wytworzone: bogactwa i dobytku, wartości moralnych i więzi międzyludzkich, i tego, co najcenniejsze: życia.

Ponieważ to, co w tej chwili piszę, nie jest żadną nowością, dodam tu jeszcze aforyzm Brzozowskiego sprzed ponad stulecia: „Rycerz nie wytwarza świata: on go – co najwyżej broni – a potem w promieniu swego miecza uważa za dzieło swoje”. Tym bardziej – dodam od siebie – rycerz z balwierską miednicą na głowie. Permanentna, choćby taka jak dziś – wyobrażona, parodiująca sarmacką groteskę – obrona świata ma zastąpić wytwarzanie. Macherzy kolejnych edycji naszych rycerskich kultów boją się i nienawidzą twórczości, nie wiedzą (nikt nie wie), dokąd ona może doprowadzić, dlatego prowadzą w istocie antytwórczą, antycywilizacyjną krucjatę.

PRZECIW PRYWATYZACJI PAMIĘCI

Dla kultury popularnej wojna i męczeństwo będą zawsze historycznymi tematami atrakcyjniejszymi niż praca, twórczość, mozolne dążenie do lepszego życia, zmagania z problemami codzienności. Bo znakomita większość przekazów kultury popularnej produkowana jest w nastawionych na zysk przedsiębiorstwach, w których obowiązuje zasada wyciągania maksymalnych korzyści przy jak najmniejszym wkładzie. Jeśli zależy im na wychowaniu odbiorcy, to przede wszystkim niewymagającego, takiego, który będzie przewidywalny w swoich upodobaniach i zadowolony prostym, tanim przekazem.

Tematy „bohaterskie” są także atrakcyjne dla tej części naszej klasy twórczej, która jest zaprawiona w bojach z „ludożerką”, zdobywała fachowe umiejętności oraz kształtowała wyobraźnię w agencjach reklamowych czy komercyjnych telewizjach, nie lubi twórczego ryzyka, eksperymentu, a przede wszystkim dialogu z

publicznością, którą gardzi. Temat wojenny czy martyrologiczny od razu angażuje silne, choć często płytkie emocje odbiorcy powieści, filmu, serialu telewizyjnego czy spektaklu, łatwo go – przy niedostatkach fabuły czy konstrukcji bohaterów – zakłajstrować efektami specjalnymi.

Dlatego myślę, że powinniśmy – jako świadoma swoich celów wspólnota – bezwzględnie odejść od tego toksycznego publiczno-prywatnego partnerstwa (w którym straty są publiczne, a zyski prywatne), jakie dzisiaj kształtuje nasze wyobrażenia historyczne i popularyzować nasze dzieje bez fałszującego redukowania do dziejów wojennych i męczeńskich.

Mamy w naszym kraju dobrą – choć stanowczo zbyt słabą – tradycję popularnej, a wysokiej klasy twórczości ukazującej naszą odleglejszą, bliską i bardzo bliską historię z perspektywy codzienności i zwyczajności, a także z perspektywy cierpliwego, a momentami gwałtownego, rewolucyjnego budowania cywilizacyjnych fundamentów naszego kraju, przemian sposobów i poziomów życia, pracy, świadomości. Od powieści pozytywistów – Miłkowskiego-Jeża, Prusa, Orzeszkowej – czy modernistów – Orkana, Reymonta – przez sukcesy sagi Dąbrowskiej czy próby Boguszeńskiej i Zespołu Przedmieście czy powojenne powieści Nowaka, Kawalca, Myślińskiego i innych. Mamy świetną tradycję filmu historycznego, od monumentalnej „Ziemi obiecanej” Wajdy czy śląskich eposów Kutza, po komedie niebojące się ukazywania przemian polskiej codzienności językiem groteski, takie jak „Sami swoi” Chęcińskiego czy „Konopielka” Leszczyńskiego. Lata 70. i 80. to ogromna popularność telewizyjnych seriali: „Chłopów” Rybkowskiego, „Nocy i dni” Antczaka, „Najdłuższej wojny nowoczesnej Europy” Sztwiertni, „Blisko, coraz bliżej” Chmielewskiego, „Z biegiem lat, z biegiem dni” Wajdy, „Domu” Łomnickiego.

Nie wymieniam oczywiście tych utworów po to, żeby domagać się powrotu do podobnej poetyki czy twórczych konwencji, ale aby pokazać, że możliwe jest – choć trudne – zainteresowanie i głębokie przejęcie publiczności historią. Wymaga to jednak

takiej polityki i pedagogiki historycznej państwa, a także pedagogiki uprawianej świadomie przez gotową do ryzykownych poszukiwań artystycznych klasę twórczą, która wzięłaby pod uwagę to, że historia naszej wspólnoty to przede wszystkim historia tworzenia, a dopiero wtórnie wobec tworzenia historia obrony i burzenia. Która sprzeciwi się obecnemu fałszowaniu naszych dziejów i rugowaniu z historii najistotniejszych momentów naszego zbiorowego i indywidualnego życia.

Potrzebujemy budowania popularnego przekazu historycznego, w którym ludzie tworzący dziś własne, wspólne i (tego chyba najwięcej) cudze dobro mogliby odnaleźć afirmację własnej twórczości, a więc swojego życia takiego, jakie jest, a nie takiego, jakie mogłoby być, gdyby akurat napadł na nas bolszewik czy Niemiec. Przekaz taki zapewne z trudem będzie przebijać się przez wrzask nacjonalistyczno-komercyjnego konsorcjum, ale zaniechanie jego tworzenia ma fatalne, i będzie miało jeszcze gorsze skutki.

Naszym centralnym instytucjom kultury, a także twórcom często umykają wydarzenia świadczące o ogromnej oddolnej potrzebie odnajdywania w historii przekazów wzmacniających świadomość znaczenia życiowego dorobku zwykłych ludzi, każdego z nas, w budowaniu wspólnoty, a co za tym idzie: poczucie dumy z własnego miejsca i znaczenia w świecie. W całej Polsce ogromną popularnością cieszą się imprezy przypominające dziedzictwo kultury życia materialnego i codziennego, lokalności, pracy. Odbywają się, choć wciąż pozbawiane materialnego wsparcia państwa, liczne festiwale ludowe i wiejskie – tu i tam chętnie ze względu na swoją wiejskość obśmiewane – a także miejskie-sąsiedzkie; na warsztaty śpiewu białym głosem, pieczenia chleba, tkania na ręcznym krośnie, wyplatania koszyków czy ludowej snycerki trzeba zapisywać się ze sporym wyprzedzeniem; publiczność bardzo chętnie odwiedza skanseny kolejowe, muzea maszyn rolniczych, pokazy dawnych technologii.

Powstają nawet prywatne i społeczne muzea i kolekcje materialnych świadectw twórczości lokalnych społeczności. Czy

widzieli państwo muzeum w Lipcach Reymontowskich, które od wielu lat z kolejarskiej pensji utrzymuje pan Zbigniew Stań, skansen maszyn rolniczych w Naterkach Janusza Damińskiego albo prywatne Muzeum Motoryzacji i Techniki w Otrębusach? Podobnych instytucji jest w naszym kraju mnóstwo, choć wciąż zbyt mało. Popularność takich wydarzeń i miejsc świadczy o tym, że Polacy potrzebują kontaktu z historią i dziedzictwem codzienności, bo ta historia udziela im potwierdzeń, że zwyczajność i codzienność nie są pozbawione znaczenia, są bezcenne jako istota jednostkowego i wspólnotowego bytu. I Polacy potrzebują tych potwierdzeń nie tylko w przekazie lokalnym, ale i centralnym: w porządnie zrobionych filmach, serialach telewizyjnych, popularnej literaturze.

Potrzebujemy jak powietrza publicznych mediów podejmujących trud produkcji i upowszechniania popularnego przekazu historii naszej wspólnoty we wszystkich jej aspektach. Wątpię, żeby prezes Kurski mógł się stać Szczepańskim PiS-u nie tylko ze względu na łączącą obu panów szczerą miłość do „pierwszych” i szczególną umiejętność okazyjnego nabywania nieruchomości, ale także wizję państwowej (publicznej? narodowej? – niech to się tam nazywa, jak chce) telewizji, która obok wulgarnej doraźnej partyjnej propagandy może jednak prowadzić istotną cywilizacyjną misję. Ale jeśli się pomyłę, bardzo chętnie zapłacę te 15 złotych miesięcznie, i choć telewizora od dwudziestu lat nie mam, to kupię. Zapłacę nawet 20 złotych, możecie trzymać mnie za słowo.

Autorstwo: Jarosław Górski

Źródło: NowyObywatel.pl